

RĘKA KSIĘŻNICZKI

I

Mężczyzna otarł twarz, rozsmarowując nieco żółtawej glinki na czole. Skwar stawał się nieznośny, a w powietrzu ewidentnie wisiała burza. Wsparł się na szpadlu wbitym głęboko w ziemię. Wokół przyciętego niewprawną ręką pniaka ziała wielka dziura. Jeszcze niedawno w tym miejscu pysznił się okazały klon, pamiętający pewnie czasy obu wojen... albo i jeszcze wcześniejsze. Teraz, w otoczeniu pokosu drzew, stała tu wielka pryzma kostki brukowej i kilka krawężników.

Od kilku lat mężczyzna walczył o obywatelskie prawo do wycięcia tego cholernego drzewostanu na własnej posesji. Działkę zakupił całkiem okazjonalnie, nieco poniżej wartości rynkowej. Mówili, że kiedyś puszcza tędy obwodnicę, a ziemia jest przecież najlepszą inwestycją. Lata mijały, przyszła nowa władza i plany się zmieniły. Po cholere budować obwodnicę niemal przez środek miasta?! I tak został na lodzie... Z działką nadającą się na skwer albo kibel dla okolicznych czworonogów. Wała tam! Nowy minister, dobra zmiana, strzeżcie się drzewa! Marek uśmiechnął się pod nosem i wrócił do kopania. Jeszcze z pół metra, a korzeń sam się podda. Może i z dziury nie wylezie, ale przy odrobinie pomocy... Ba, ma w bagażniku linkę holowniczą, pociągnie się polonezem raz, drugi, trzeci. Toć to nie może być wieczne! Wyobrażenie wyrównanego placyku dodało mu wigoru. Kolejne grudy lepkiej ziemi padły na stok hałdy, która powstała w trakcie kopania. Wtem szpadel zgrzytnął na czymś metalowym ...

– Co do k... – Marek przełknął przekleństwo, unosząc szpadel.

W otworze zamajaczył krótki błysk odbitego światła. Umysł mężczyzny podświadomie przewinął kilka obrazów: garniec ze złotem, skrzynia pełna srebrnych monet, złoty samorodek, granat z odskakującą zawleczką... Chciwa natura przewyciężyła chwilową panikę. Padł na kolana i dłońmi zaczął rozgrzebywać zbryloną ziemię. Pomiedzy grudkami ponownie błysnął refleks światłą odbitego od gładkiej powierzchni. Chwilę zajęło Markowi oczyszczenie znaleziska z pyłu i glinki. Srebrzysta obręcz wielkości sporej rolki taśmy klejącej połyskiwała kusząco w promieniach letniego słońca. Przez chwilę czuł motyle w żołądku. Duża dawka adrenaliny opanowała całe ciało. Szok przeradzał się z wolna w poczucie euforii, spełnienia i radości. Marek znów zaczął rozgrzebywać ziemię, odrzucił kilka kamieni i większych grud gliny. Drobnny urobek odsunął zamasyście na bok. Dwa krótkie kijki, kolejny tuż obok... Zaraz, zaraz... Uniósł przedmiot do oczu i przyjrzał mu się uważnie.

– Kurwa, kość... Ja pierdołę, kość! – Odsunął się momentalnie od dziury, upuszczając szczątki.

Istotnie, w bezpośrednim otoczeniu błyskotki znajdowało się kilkanaście próchniejących gnatów, które swoim układem wyraźnie przypominały długie, smukłe palce. Kilka mniejszych kostek wałało się w usuniętej warstewce ziemi. Marek wytarł ręce o koszulkę. Glinka zabarwiła tkaninę smugą mdłej żółci. Przez chwilę ważył w ręce telefon komórkowy. Nieee... przecież nie będzie wzywać psiarni. Dziesiątki filmów o tematyce archeologicznej, dwa konta na forach internetowych poszukiwaczy – to przecież zobowiązuje. Poczucie misji przejęło stery. Ruszył do zaparkowanego opodal poloneza, otworzył bagażnik i wyciągnął jednorazową foliówkę. Wytrząsnął ze środka resztki okruchów, zbłąkaną grudkę kruszonki wpakował do ust. Zlustrował wnętrze kufra i nie znajdując nic, co by mu się przydało, ruszył z powrotem w kierunku wykopu. Zapakowanie znaleziska zajęło mu kilka minut. Obręcz wykonano z dość grubej blachy, której krawędzie wymodelowano w motyw kwiatowy. Każdy z płatków ozdobiła granulacja ze srebrnego drucika pociętego w drobne kuleczki, przylutowane do ich

powierzchni. W pełnej krasie obręcz prezentowała się znacznie dostojniej. Podekscytowany wracał już do samochodu, kiedy przypomniał sobie urywek jakiegoś programu dokumentalnego na Discovery. Starszy brodaty archeolog ekspresyjnie wyrażał swoje zdanie o poszukiwaczach skarbów i amatorach archeologii. Mimika twarzy i dobór słownictwa sugerowały pogardę i szczerą nienawiść.

– Jasne... fotki. – Marek obrócił się na pięcie, wyciągnął komórkę i udokumentował stanowisko serią kilku szybkich zdjęć. Nim doszedł do auta, niebo w oddali przecięła błyskawica.

Zaparkował poza starówką. Wszędzie te cholerne parkometry, strefy parkowania, miejsca dla inwalidów! Szedł chodnikiem, a ulica wydawała się pustawa. Co rusz wsuwał rękę do kieszeni, sprawdzając, czy błyskotka wciąż się tam znajduje. Za każdym razem muskał palcami jej chłodną powierzchnię. Tylko cienka warstwa folii dzieliła go od historii, sławy i bogactwa. W prześwicie pomiędzy kamienicami poczuł silniejszy podmuch. Słońce skryło się za grubą warstwą chmur, szybko przybierających coraz bardziej granatowy odcień. Pociągnął nosem i wychwycił w powietrzu charakterystyczny zapach deszczu. Znów wsunął rękę do kieszeni, znów musnął srebro opuszkami, wyjął dłoń zawstydzony.

Mijał właśnie witrynę z przeszklonymi gablotkami, gdy kątem oka zauważył charakterystyczny napis stylizowaną czcionką. „Antyki – skup, sprzedaż, lombard” Przystanął wpół kroku. Napawał się przez chwilę miłym dla oka widokiem. Staroświeckie mosiężne świeczniki, globus stylizowany na kartograficzne mapy sprzed kilkuset lat, regał wypełniony po brzegi woluminami w skórzanych oprawach, karty pergaminu rozłożone na rzeźbionym blacie kolonialnego biurka. W głębi sklepu dostrzegł ruch. Starszy jegomość w surducie,

jakby żywcem przeniesiony z wiktoriańskiego Londynu, odkurzał wiązką strusich piór bibeloty porozkładane na meblach.

Przez chwilę Marek wyobrażał sobie srebrną bransoletę leżącą między nimi. Elegancko wyeksponowaną na drewnianym stojaczku, z gustowną metką z czerpanego papieru, przywiązaną do obręczy na krótkim sznurku... Odchodził zadowolony, licząc w wyobraźni banknoty. Pierwsze krople deszczu wyrwały go z zamyślenia.

– Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę – mruknął pod nosem i ruszył dalej.

Na rogu znajdował się spory budynek z czerwonej cegły. Dwuskrzydłowe drzwi były zwieńczone portalem. Na tympanonie widniał napis głoszący wszem i wobec: „Muzeum”. Ostatnie metry Marek przebiegł, bo wzmożony wiatr smagał już zacinającym deszczem.

II

– Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć. Sądziliśmy, że przepadła na zawsze. Były różne teorie na temat miejsca, ale nikt nie miał wątpliwości, że została już dawno spieniężona... albo przetopiona. Jednak pańskie znalezisko...

– Kustosz brodnickiego muzeum sam mógłby być z powodzeniem jednym z eksponatów. Siwe włosy okalały jedynie skronie tuż nad uszami. Szczupły, lekko przygarbiony, można by rzec – zasuszony. Przykładał właśnie kolejny raz monokl zegarmistrzowski do okularu, by znów przyjrzeć się powierzchni bransolety. Marek przez chwilę się obawiał, że do innych symptomów dołączy Alzheimer i staruszek rozpocznie swój wywód od początku. Jednak z ulgą się przekonał, że sprawny umysł to jedna z tych nielicznych sprawnych rzeczy, jakie mu zostały.

Gdy pół godziny temu Marek wbiegał do muzeum, liczył, że powitają go fanfary. Tymczasem bileterka zmierzyła go pogardliwym wzrokiem znad

krzyżówki. Momentalnie wrócił do rzeczywistości i wygładził przemoczoną koszulkę, która zaczynała się lepić do ciała. Prośba o spotkanie z dyrektorem placówki skończyła się serią pytań rodem z komisariatu.

– A po co? A czemu? A jak? Ryba morska na pięć liter?

W końcu bileterka sięgnęła po słuchawkę, wybrała numer wewnętrzny, a po trzech, może czterech sygnałach bez odpowiedzi stwierdziła, że dyrekcja dziś nie przyjmuje. Z pokorą poprosił o spotkanie z kimś niższej instancji. Próby zbycia natręta skończyły się fiaskiem. Marek dzielnie znosił wymówki. W końcu doczekał się kapitulacji. Przeciwnik wykonał kolejny telefon i wrócił do wcześniejszego zajęcia.

Kilkanaście haseł później zza bocznych drzwi wyłoniła się postać kustosza. Krótki powolny spacer po schodkach, niewielka galeryjka wyłożona boazerią pamiętającą czasy Gomułki i gabinecik. Całkiem przytulna klitka zapchana do nieprzyzwoitości książkami, kserówkami i broszurami. Książki na regałach, książki na biurczku, książka pod nogą fotela, wyraźnie krótszą, nadgryzioną zębem czasu i korników. O ile korniki mają zęby... Książki na parapecie, kilka nawet na podłodze w karnym stosiku. Na twarzy starszego jegomościa pojawiło się lekkie zakłopotanie. Wskazał gościowi fotel, sam przysiadł przy biurczku.

Początkowo wydawał się zdrowo sceptyczny. Kiedy jednak dostał w swe rękę bransoletę, na chwilę znieruchomiał. Powieki pokryte strzępką rzęs przymknęły się powoli. Marek przyłapał się na tym, że liczył na towarzyszący temu odgłos zgrzytania... czy choćby cichego skrzypienia. Po chwili zaczął się martwić, że brak ruchu jegomościa może wynikać nie z faktu zamyślenia, ale z bardziej ostatecznych przyczyn. Chrząknął krótko i założył nogę na nogę.

– Ach... Pan wybaczy. – Pomimo podeszłego wieku, wyglądu i aury kustosza jego głos wydawał się całkiem znośny... Wręcz pełen werwy! – Miałem gdzieś tutaj książkę... Tak. Widziałem gdzieś podobne precjozum.

Marek uniósł brwi, ale starszy jegomość nawet na niego nie spojrzał. Poprawił na nosie okulary i wstał do regału. Przebiegł palcami po okładkach,

zatrzymał się na jednej z nich. Chwilę jakby się zawahał, a potem wyciągnął tomik i otworzył go na spisie treści. Znalazł właściwą stronę mniej więcej w połowie grubości woluminu.

– Proszę się przyjrzeć tej rycinie. – Kustosz postukał kilkakrotnie palcem w papier. – To portret Anny Wazówny, siostry Zygmunta III, króla Polski.

– Tego z kolumny?

– Dokładnie. Proszę spojrzeć na mankiety księżnej. – Wskazał kolejno oba nadgarstki kobiety przedstawionej na czarno-białym przedruku portretu. – Jedną z bransolet przekazała przed śmiercią na uposażenie tutejszej parafii luterańskiej... Drugą... cóż...

– Zakopała pod drzewem na mojej działce?

– Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć. – Staruszek nie zdradzał nawet lekkiego zażenowania rozmową. – Sądziliśmy, że przepadła na zawsze. Były różne teorie co do miejsca, ale nikt nie miał wątpliwości, że została już dawno spieniężona... albo przetopiona. Jednak pańskie znalezisko zdaje się potwierdzać relacje świadków. Mówiono, że rabusie żyjący z ograbiania zwłok, nie mogąc zdjąć bransolety z ręki Wazówny, zabrali całość...

– Znaczy się... ciach? – Marek chwycił się ręką za nadgarstek.

– Ciach. Kości, które pan... zabezpieczył razem z biżuterią... Cóż. To śródrezcze i paliczki... Kilka kości nadgarstka i fragment... – Uniósł ułamek kości do żarówki. – Tak, to kość łokciowa.

Marek zmarszczył brwi. Obserwacja staruszka w ferworze pracy miała swój urok.

– Jeśli zechce pan zerknąć na kilka fragmentów, mam tu przedruki z pamiętnika. – Wskazał ręką w kierunku fotela. – Gdyby był pan tak miły i wyciągnął książkę...

Marek podszedł z wolna do mebla. Nieufnie uniósł siedzisko, podniósł wolumin z posadzki, a następnie najdelikatniej, jak tylko potrafił, odstawił fotel z powrotem. Książka miała nową introligatorską oprawę pozbawioną

jakichkolwiek oznaczeń. Marek przetarł ręką po otarciach powstałych w wyniku obciążenia nogą fotela. Były dość głębokie, ale raczej nie zniszczyły zawartości.

– Rozdział ósmy... – Staruszek oparł się wygodnie na krześle. – Jeśli pan łaskaw...

III

Egzekwia toruńskie pamięcią Andrzeja Reya utrwalone

Otrzymawszy stosowne zaszczyty, by w imieniu Miłościwie Nam Panującego Króla Władysława uroczystości pogrzebowych ciotki Jego Anny dopilnować, osobiście do Torunia ruszyłem. A stan robót tam zastany o bóle głowy i nerwów przyprawiał. Pan nasz wyraźnie przykazał, by ciotkę w bazylice pochować rychło, nim poselstwa ze Szwecji zjadą, godnego jej szczątków traktowania żądając. Wszak nieboszczka już lat 11 niemal na swe ceremonie żałobne czekała, co nie godzi się nie tyle damie, co członkowi rodziny nam panującej. Tedy Król nasz budowę mauzoleum zlecił w Toruniu, by głosy potępienia uciąć przy samych językach, że ciotka jego wiary się jedynej wyrzekłszy, na wieczną tułaczkę zasługiwała.

Kaplica w kościele stoi już gotowa, jeno z zewnątrz tylko, bo w środku majstry czas cały pracują, by ceglane ściany pobielić, a i sarkofag stosowny dla nieboszczki przygotować. Przykazał Władysław też, że jeśli prace się opóźnią, to choćby i białymi jedwabiami trzeba było wewnątrz wykladać, ma być zrobione, a zwłoki ciotki spokoju wreszcie zaznać powinny. Niech wiedzą Szwedzi, że pan nasz łaskawy, a o ich dawną krajankę i siostrę w wierze dba równo co o swoich najbliższych.

Sprawdziwszy gotowość Torunian na przyjęcie szczątków drogiej sercu Króla ciotki, ruszyliśmy do Brodnicy, gdzie starościanka od dnia, w którym śmierć ją zabrała, w celi murowanej na zamku dnia pogrzebu wyczekuje. Droga to

niedługa wcale, trzy dni jeno wozem, a konno i w jeden dzień dotrzeć można. Zatrzymaliśmy się jednak w karczmie pod miastem, by dnia kolejnego ciało ukochanej ciotki z zamku zabrać z atencją, ale bez szczególnego rozgłosu, by nie aferować tamtejszych mieszczan, co z damą tej wielkiej kraszy rozstawać się by nie chcieli...

Szlachcic wyszedł z izby na piętrze. Korytarz rozświetlały trzy kaganki uwieszone pod belką stropową. Grube knoty dawały migotliwe światło, a tłuszcz w kagankach skwierczał przyjemnie. Andrzej Rey kazał zbudzić się przed świtaniem. Chciał stanąć w Brodnicy krótko po rozwarciu bram miejskich. Z nastaniem mroku bramy zamykano, by element wątpliwy, nieproszony i kupcy maści wszelakiej do miasta się nie dostawali. Niestety, tyczyło się to wszystkich, którzy za dnia stanąć w mieście nie zdążyli. Nawet tak znamienitych obywateli jak Rey, sekretarz samego króla Władysława. Często to sobie powtarzał. Pomimo lat sporej ilości, rodu licznego i przodków znakomitych, a także funkcji pełnionych i dostatniego majątku czuł jeszcze czasem chwile zwątpienia.

Szatny doskoczył do niego niemal natychmiast, kiedy przekroczył próg. Dopięcie wszystkich guzików żupana trwał długo, a samemu byłoby trudne. Chłopak szczęśliwie miał palce zwinne, a oko sokole. Bez problemu przewlekał guziki przez pętelki, dopinając obcisłą szatę na wcale niemalejącym brzuchu szlachcica. Ten tylko powietrze wypuścił, żeby młody z zapięciem na piersi nie miał problemu, a kiedy skończył, Rey ruszył schodami do izby gościnnej.

W sali panowała jeszcze błoga cisza. Karczmarz dopiero rozdmuchiwał palenisko, dwie dziewczki, całkiem nawet znośnej urody, uwijały się, sprzątając zastawę z wieczerzy. Resztki potraw zrzucano na sporą dzieżę wyciosaną z półokrągłaka dębowego, naczynia pakowano w kosze, przesypując je zimnym popiołem. Na stołach ustawiono już świeże świece i lampki łojowe. Sala w blasku

płomieni sprawiała wrażenie ciasnej, choć Rey wiedział, jak wielu ludzi można w niej zmieścić. Szlachcic tupnął podkutym butem, zwracając na siebie uwagę.

– Pan dobry raczył wstać, jak widzę! – Ucieszył się karczmarz, unosząc się zza szynkwasu. Pomimo że przybytek wynajęto jedynie na potrzeby sekretarza, płacił godnie, apetyt mu dopisywał, a towarzyszący mu ludzie również lubili sobie pohulać. – Śniadanie grzać dla jegomości?

– Uwarz polewki dla wszystkich po równo, ale szybko... Czas nagli, a trudno z burczącymi brzuchami wielkich czynów dokonywać. – Rey z namaszczeniem podwinął wąsa. A wąsy, jak na przykładnego nobila, wyhodował pokaźne.

– Wedle życzenia, panie! – Karczmarz zniknął na zapleczu. Chwilę później dał się słyszeć stukot naczyń ceramicznych na kamieniach paleniska, a w powietrzu rozniósł się żywiczny zapach dymu.

Pan Andrzej siadł przy długim stole. Usadził się możliwie wygodnie na drewnianej ławie, nogi wyciągając pod blatem. Zaraz obok zakręciła się jednak z dziewczek, wręczając mu pucharek z winem. Żał było odmawiać, mimo że godzina wczesna... Szlachcic podniósł naczynie do ust, powąchał i bez wyrzutów sumienia skosztował. Cienkusz smakował kwaśnawo, a mocy w nim tyle, co u chorej klaczy... Skrzywił się, ale tylko dla efektu, po czym wychylił pucharek i duszkiem przyjął zawartość.

Drzwi wejściowe otworzyły się z wolna. Do środka wszedł jeden z pacholków towarzyszących sekretarzowi w podróży. Przez otwarte skrzydło do izby wpadły pierwsze promienie budzącego się słońca. Chłopak rozglądał się chwilę po sali, nim jego oczy przywykły do półmroku.

– Mości panie, przyjechał pan Posselius, medy...

– Wiem, wiem – przerwał mu szlachcic. – Wprowadzić, a nie język strzępić po próznicy!

Młody zamknął usta z cichym kłapnięciem. Westchnął cicho i znów mrużąc oczy, wyszedł na dziedziniec. Dopiero po chwili przez drzwi przeszła kolejna

postać. Mężczyzna w sędziwym wieku, ubrany jak trzeba, po polsku. Poza wąsiskiem szczyścić się mógł również brodą mędrca, choć większość twarzy przesłaniały mu rogowe oprawki z barwionymi szkiełkami.

– Andrzej! Lat dobrych parę cię nie widziałem!

– Może to i lepiej, zważywszy na twoją profesję, Joachimie... – Sekretarz zaśmiał się rubasznie, zerwał zza stołu i prawie potracił dziewczkę zmierzającą do niego z karafką wina. – Czym sobie zasłużyliśmy na wizytę królewskiego medyka? – zapytał, lecz nie czekał na odpowiedź. Uściskał starego, poklepując go po plecach.

Nim obaj zasiedli za stołem, pojawiła się dodatkowa zastawa. Pan Andrzej, czyniąc honory, napełnił dwa pucharki. Przepili.

– Szczyzny – mruknął medyk, ocierając resztkę płynu skapującą po brodzie.

– Małmazja to nie jest... Wprawdzie mieszane z wodą, ale idę o zakład, że policzy jak za pierwszy sort. – Sekretarz uśmiechnął się porozumiewawczo i zmierzył starego wzrokiem, próbując sobie przypomnieć, ile lat mogło mu minąć.

– Zajmowałem się zdrowiem Wazówny, nim odeszła. Winny jej jestem i tę podróż Andrzeju.

– Wszak dzięki temu mogę cieszyć oczy twym pogodnym obliczem...

– Dworuj sobie waszmość do woli. – Oblicze Joachima Posseliusa można było określić różnorako, szczególnie jednak nie wypadało używać słowa: pogodne. W trakcie nauki zawodu przyszło mu przeprowadzać sekcje ofiar przeróżnych przypadłości, w tym ledwie co narodzonych dzieci, a nawet i zroślaków. Widział w życiu tyle śmierci, że coraz częściej zapominał o tym grymasie, który większość ludzi nazywa uśmiechem.

– Toć to z przyjaźni i szczerych zamiarów tylko! Wracając do sedna, już jej nie pomożesz. Jedenaście lat w trumnie zmienia człowieka... – Pan Andrzej raczył się zaśmiać. Aczkolwiek krótko, spostrzegłszy posępne spojrzenie spod szkiełek.

– Wiesz przecie, ile lat trzymałem pieczę nad siostrą Zygmuntową. I nad Zygmuntem również. A teraz oboje w grobach, a ja nadal nie wiem, jak można było im pomóc.

Sekretarz dolał do pucharków, po brzegi. Z kuchni dochodził coraz mocniejszy rybny zapaszek.

– Nie sromocz się przyjacielu, na wszystkich przyjdzie czas. Prędzej czy później.

– Ty wiesz, co przed zgonem sobie umyśliła? – Joachim wychylił kolejny pucharek, po czym cisnął naczyniem o klepisko, dając dobitnie do zrozumienia, że napitek mu jednak nie przypasował. Drobne fragmenty szkła rozprysły się po glinianej podłodze. – Nim się oddała bez reszty zaświatom, kilka miesięcy leżała w gorączce tak dużej, że posłali po mnie do Gdańska. Zanim przyjechałem, zdążyła ozdrowieć i zapaść na gorąco znowu, tyle że poważniej. To chciałem leczyć w myśl sztuki, a ona na to, że babka sposób miała niezawodny, skuteczny i prosty. A mojego leczenia nie chce. No to pytam, co to za sposób. Kazała zająca przynieść żywego, co pokojowa zrobiła skwapliwie. Za dobrą służbę zawsze dostawała precjozum, jak się potem okazało.

– Płaciła za zające? – Pan Andrzej skrzywił się lekko, aż wąsem zastrzygł.

– Nie za zające, a za spełnianie zachcianek dziwaczych. Kazała temu zającu łeb obciąć, w chustę zawinąć i do gorącego miejsca przykładać dni kilka.

– Jezu... – Sekretarz jęknął przeciągle, ale zmilczał zaraz, widząc, że stary podejmuje opowieść.

– I łeb ten, w ciekłą szmatę obwiązany, trzymała dzień i noc na piersi. Mnie nie kazała nic robić, to czekałem. Jak przyszedłem na dzień czwarty, patrzę, a tu łba nie ma, a księżna złorzeczy, że pokojowa zewłok oknem wyrzuciła, bo z tego smrodu nawet poduszek poprawić nie mogła. – Młodszy szlachcic parsknął głośno.

– Zabobon przecie...

– Zabobon czy nie, księżnej maligna przeszła, a w dni kilka z łoża zaczęła wstawać. Ja bym krwi puścił albo pijawki przystawił. Napary i okłady z ziół zalecił, a później wdychanie oparów wonnych... Ale nie wiem, czyby tak szybko pomogło. A tu z zającem jeździć mi trzeba było.

Pan Andrzej zakrztusił się cienkuszem. Sromotnie się zakrztusił, charcząc zaczął i łapać powietrze, ale gdy stary ruszył mu na pomoc, tylko rękoma zaczął machać, jak gdyby od muchy się odpędzając. Sytuację uratował karczmarz, wychodząc z kuchni z garem wielkim i parującym solidnie. Od progu zaczął zachwalać swoje dzieło tak, że skutecznie uwagę medyka odwrócił. W tym czasie sekretarz oddech swój uspokoił.

– Janek, ćmoku! – wrzasnął lekko zachrypłym głosem.

Z piętra po schodkach zbiegł młody szatny. Rozwichrzony włos, upstrzony gdzieniegdzie słomą świadczył najpewniej, że korzystając z okazji, dosypiał gdzieś w kącie.

– Wołaj mi tu wszystkich. Śniadamy i w drogę! Heretyczka stygnie... – Ostatnie słowa mruknął pod nosem. Karcący wzrok Joachima uświadomił mu, że jednak zbyt głośno.

Izba szybko się zapełniła. Koniuszy, łaziebny, kilku pacholków, czterej zbrojni po nocnej wachcie – wszyscy zasiedli przy wspólnym stole, ciesząc swe gardła parującą zupą. Potrawka sprawiała trochę problemów. Konsystencja wymagała nieco cierpliwości, by odspoić ją od drewnianych łyżek, którymi zajadali ze wspólnych mis. Jedynie dwaj szlachcice otrzymali swoje porcje na osobnych nakryciach. Przeszło dwudziestu chłopów jadło w milczeniu. Posilili się sprawnie i choć właściciel oberży, czując uciekający przez palce interes, proponował jeszcze napitki, karnie odmówili. Czekać na wymarsz, zaczęli sprawdzać oporządzenie i troczyć sakwy do siodeł.

Przed wyjściem pan Andrzej rzucił karczmarzowi pękata sakiewkę. Zawartość z nawiązką regulowała rachunek. Wychodząc na dziedziniec oberży, przypasał szablę w czerwonej pochwie. Rynsztunek pysznie kontrastował

z błękitem jego żupana. Pomimo wieku zachował dawny wigor. Zignorował pachołka, który ochoczo ruszył, by mógł się nań wesprzeć, dosiadając wierzchowca. Wsunął but w strzemię, wybił się z kolana i zgrabnie przesadził siodło.

Ruszyli kolumną. Na przedzie dwóch zbrojnych, później obaj szlachcice. Jadąc strzemię w strzemię, dyskutowali jeszcze o straconych latach. Reszta służby utworzyła zgrabny ogonek i pilnowała, by szyk nadto się nie rozwlekał. W oddali, na niewysokim wzgórzu pojedyncza wieża górowała nad miastem, skąpanym w świetle wczesnego poranka. Zamek brodnicki budził się ze snu, na korytarze wyległa już służba, skrupulatnie wypełniając zalecenia starosty.

IV

– Na życzenie Jego Królewskiej Mości ciało ciotki przygotowane jest już do drogi. – Mężczyzna w średnim wieku szedł powoli nisko sklepioną galeryjką. Postukiwanie podkutych butów niosło się smętnie po korytarzu. – Trumna panny Wazówny pozostała otwarta, gdybyście chcieli panowie inspekcji dokonać.

Pan Andrzej kroczył pół kroku w tyle. Instrukcje przekazane przez służbę wprawiły go w niezgorszy nastrój. Liczył, że wszystko odbędzie się sprawnie, no i proszę. Wóz zgodnie z przykazem stał już na dziedzińcu zamkowym, zaprzęgnięty w dwa woły.